

„Wszyscy, którzy będą nosili Cudowny Medalik, dostąpią wielkich łask“.

„...Ci którzy we Mnie ufają, wielu łaskami ich obdarzę“.

*Słowa Niepokalanie Poczętej
do Siostry Kat. Labouré.*



ROCZNIK MARJAŃSKI

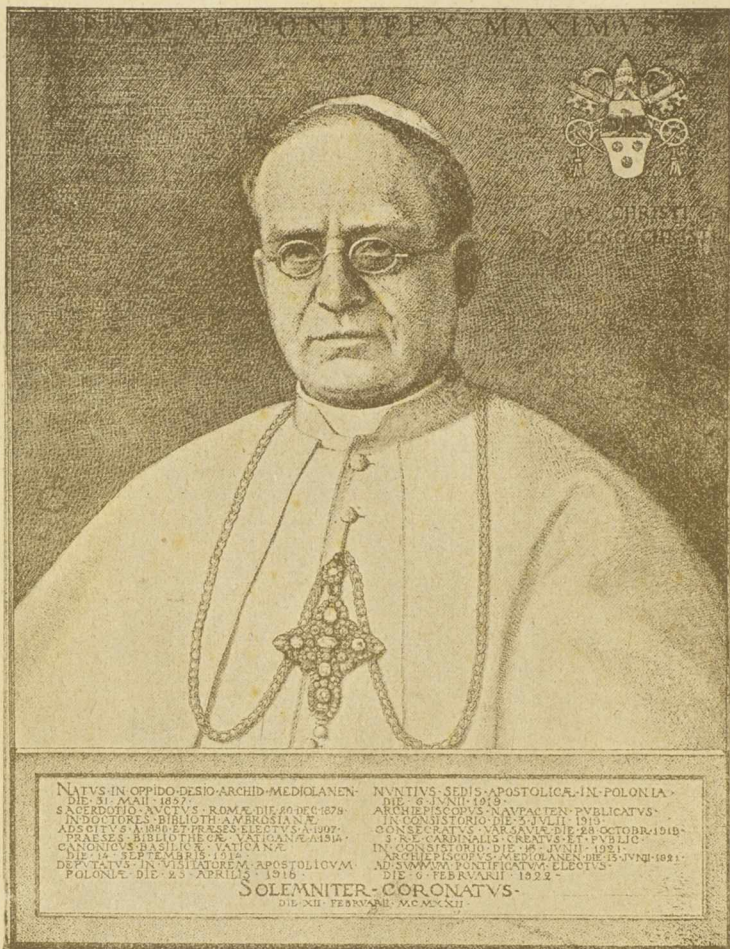
Cudowny Medalik

CZASOPISMO MIESIĘCZNE ILUSTROWANE

Redakcja i Administracja: Kraków, Stradom 4
(XX. Misjonarze)

P. K. O. Nr. 404.450





PIO UNDECIMO
 SUMMO PONTIFICI ET UNIVERSALI PAPAE
 PAX, VITA ET SALUS PERPETUA.



CENTRALNY KRAJOWY ORGAN KRUCJATY CUD. MEDALIKA
STOW. CUDOWNEGO MEDALIKA I DZIECI MARJI W POLSCE

Rok XII

Redaktor X. Pius Pawellek, Misjonarz

Luty 1936

Matka Boska Gromniczna.

Pamiętka Oczyszczenia Najśw. Panny, którą obchodzimy 2 lutego, jest uroczystością podwójną, albowiem, jak powiada ks. Skarga, Matka Boża w dniu tym «dwa statuty zakonne wypełniła». Pierwszy o «białych głów oczyszczeniu» i drugi «o pierworodnych synów ofiarowaniu, które Pan Bóg, z poważnych i potrzebnych przyczyn, na czas był postanowić i rozkazać raczył». «Ta ustawa oczyszczenia — mówi dalej Skarga — nie tak się rozumieć ma, aby rodzenie, któremu sam tenże Pan Bóg błogosławił i w małżeństwie świętem mieć je chciał, miało w sobie grzech jaki albo nieczystość. Niema żadnej. Ale upomina i daje znać ten statut o grzechu pierworodnym rodziców i naturze skażonej naszej, w której się każdy człowiek nieczystym i grzesznym i synem gniewu rodzi». Była tu więc nieczystość legalna tylko, która się też spełnieniem legalnego obrządku usuwała. Matka Boża, jako Matka Dziewica, nie była do tego prawa możeszowego obowiązana: mimo to wszakże Najśw. Panna prawu temu się poddała, dając nam przykład pokory. Przyjął to prawo, w uchrześcijanionem znaczeniu, Kościół św. pod nazwą wywodu.

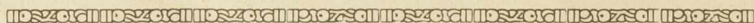
Z obrządkiem oczyszczenia połączona była w Starym Zakonie ceremonia ofiarowania i wykupu syna pierworodnego. To znowu prawo ma swój początek w historii wyprowadzenia ludu wybranego «z ziemi egipskiej, z domu niewoli». Powstało ono mianowicie na pamiętkę dziesiątej plagi egipskiej, która ostatecznie zmusiła Faraona do puszczenia wolno ludu Bożego, a od którego tenże lud był wolny. I dlatego to zamożni składali na okup za

synów pierwotnych baranka, ubożsi zaś parę gołąbiąt lub synogarlic. Bogarodzica, jako uboga, złożyła ofiarę ubogich. A obok tej przyczyny była jeszcze inna — wyższa: Matka Najświętsza składała Panu nie już figurycznego, lecz prawdziwego Baranka Bożego, który miał zgładzić grzechy świata. Jaką ofiarę składała Matka Boża, tego była Ona świadoma: już wtedy przed Jej oczyma ukazało się widmo Golgoty, już wtedy siedmiobolesny miecz w swem sercu uczuła. Wyśpiewał też wówczas dzieje Baranka Bożego św. starzec Symeon w przecudnym kantyku: «Teraz puszczasz sługę Twego, Panie, według słowa Twego, w pokoju. Gdyż oczy moje oglądały zbawienie Twoje, któreś zgotował przed oblicznością wszystkich narodów. Światłość na objawienie wszystkich pogan i chwałę ludu Twego Izraelskiego» — oraz w wypowiedzianem następnie proroctwie (Łuk. II). I ono drugie prawo ofiarowania adoptował Kościół ze Starego Zakonu. Pisze o tem Skarga. «Jest też zwyczaj kościelny, iż się białogłowy po rodzaju z diabełkami wywodzą... Który zwyczaj jako jest chwalebny, gdy być może, tak grzechu żadnego nie czyni, gdy być nie może».

Liturgia Kościoła św. symbolizuje uroczystość Oczyszczenia procesją z jarzącymi gromnicami, poświęconemi tuż przed Mszą św. Sama nazwa gromnicy, czyli tej wielkiej świecy, pochodzi od gromów, od których, zapalone w czasie burzy, strzec mają lud wierny. Lud wierny nie zapomina, ale w czasie burz i nawałnic zapala te gromnice i modli się gorąco do Stwórcy o odwrócenie nieszczęścia lub chociaż złagodzenie jego skutków. Płonące te świece woskowe są symbolem onej światłości Chrystusowej, która rozproszyła noc pogaństwa. Ta światłość, to wiara z niebios świecąca słońcem Bożem: a stąd konającym podają do rąk gromnice, bo wtedy wiary jaknajbardziej trzeba. Procesja zaś z temi świecami ma, według myśli Kościoła, przypominać podróż świętej Rodziny z Nazaretu do Jerozolimy.

Od onych gromnic zowie też lud święto Oczyszczenia: Matką Boską Gromniczną.

Rzecz dziwna z pozoru, a jednak zrozumiała i naturalna, jak w myśli naszej kojarzą się ze świecą gromniczną najsprzeczniesze wspomnienia. I śnieżna zawieja z wyciem wilków, i burza letnia z gromami, i wreszcie — śmierć Co do wilków, to żyje wśród ludu legenda, że gdy wilcy, szukając żeru, robią wyprawy na wioski wtedy Matka Boska Gromniczna zstępuje z nieba z gromnicą w rękę, staje wśród tumanów śniegu i odpędza napowrót do lasów krwiożercze stada.





Objawienie się Najśw. M. P. w Lourdes.

Pierwsze objawienie.

Roku Pańskiego 1858 w dniu 11 lutego objawiła się po raz pierwszy w Massabielskiej grocie Najśw. Dziewica pokornej, skromnej i prostej wiejskiej dziewczeczce Bernadecie Soubirous.

Pewnego pogodnego dnia wybrała się nasza bł. Bernadetta, wtedy jeszcze mała, niepokazna i nikomu nieznana dziewczynka, wraz z kilkoma towarzyszkami ze wsi do niedalekiego lasu po drzewo, a raczej po chrust na opał. Przyszedszy na miejsce, cała dziewczęca gromadka rozbiegła się po lesie i zaczęła, pokrzykując i pohukując wesoło, zbierać uschłe gałęzie i opadłe szyszki, zima bowiem dogryzała potężnie. Bernadeta wnet została sama. Rozejrzawszy się wkoło, pobiegła w stronę szemrzącego zcicha potoku Gave, i idąc wzdłuż niego, zaczęła zbierać napotykanym po drodze chrust i odłamki konarów, których wnet się spore zebrało narecze. Już prawie miała wracać do przyzywających ją rozgłosnem pokrzykiwaniem towarzyszek, gdy nagle uderzyła na nią potężna fala jakiegoś dziwnego wichru, który ni stąd ni zowąd «zaszumiał od skał» i poleciał z głośnym świstem i pojękiwaniem drzew daleko w las.

W pierwszej chwili zdało się przestraszonemu trochę dziewczęciu, że to burza się zrywa, ale wnet, spojrzawszy na jasny błękit nieba, przekonała się, że to coś innego. Zresztą i wiatr już przeszedł i znów się zrobiło cicho dokoła. Pod wpływem jakiejś tajemniczej siły zawróciła i podeszła do białych skał, od których przed chwilą wiał tak potężny wichur. Dokoła jednak cichutko było, że słyszała swój własny oddech i szelest różańca, który trzymała w dłoni. Lecz naraz jakieś dziwne, bielsze od słonecznego światło buchnęło jej w twarz, aż oczy się same zmrużyły z nadmiaru blasku. Podniósłszy ciekawe powieki, zobaczyła: Cud! W ciemnej zwykle i ponurej grocie, w powodzi jakiegoś przedziwnego światła stała jakaś młoda i lekka jak ranne mgły Niewiasta. Biała jak szczytowe śniegi i lekka jak ranne mgły szata zdobiła Jej niebiańsko urodną postać. Na twarzy Jej rozlała się jakaś niewysłowiona, nieziemska piękność i jakiś rajski

wdzięk... Z przejasných głębin ocz biły snopy przesłodkich, przedobrych, macierzyńskich, miłujących blasków... Na kształtnych wargach zakwitła cudowna róża uśmiechu, którym zdawała się przyzywać, a raczej pociągać zależnioną i ociągającą się zrazu Bernadetę. Niebiański uśmiech ocz i warg nieznaney Pani zmuszał poprostu dziewczkę do przybliżenia się. Patrząc na rozslonecznionie oblicze «pięknej Pani», zapominała Bernadeta o wszystkim i tylko patrzała i patrzała. Cała jej dusza była w spojrzeniu.

Jakie nauki i rady zbawienne daje nam nasza niebieska Matka w tej najpierwszej chwili Objawienia. Zastanów się choćby nad okolicznościami, jakie towarzyszą temu objawieniu! Rozważ choćby tę okoliczność, że Niepokalanie Poczęta zjawia się w samotnej, niedostępnej i najbardziej ustronnej grocie z całej lurdeńskiej okolicy.

Ciekawy szczegół podaje nam o tej grocie historia Lourdes: Służyła ona mianowicie, jako najniebezpieczniejsza, za schronisko przed śmiercią dla okolicznych mieszkańców, gdy naprzykład w okolicy mordował, grabił i palił wróg. Nie raz, nie dwa ukrywali się w niej proboszczowie z Lourdes razem ze swoją wierną owczarnią.

Dlaczego Najśw. Panna to odludzie właśnie obrała sobie na miejsce Objawienia Swego? Dlaczego nie chciała się objawić wśród światowego jarmarcznego zgielku, gdzie się pieni i gulgoce, gdzie huczy i ryczy i szumi i targa jak górski potok po burzy wiosennej, życie? Pomyśl. Dlaczego! Ewangelja święta opowiada nam, raczej upewnia nas powagą samego Jezusa-Boga, że wszystkie największe i najdonioślejsze cuda w dziedzinie zmysłowej i moralnej dokonały się nie w gwarze i rozgardjaszu miast i większych skupień ludzkich, ale w bezbrzeżnej ciszy pustyni, wśród pogodnej ciszy serc i dusz. Tylko wśród ciszy, człowiek słyszy Boga! Podobnie rzecz ma się z Objawieniem w Lourdes. Sam Jezus Bóg-Człowiek wybrał zda się tę massabielską samotną, cichą grootę i w niej kazał się objawić ludziom Swej Matce-Dziewicy. Co się dziś z tej niepozornej, cichutkiej, nieznaney światu groty zrobiło. Oto Sanktuarjum narodów, chluba Francji i całego świata katolickiego. Oto miejsce, które wszyscy zwiedzić pragną, a potem umrzeć. I cóż dziś masz sławniejsze na świecie, jak ową grootę lurdeńską, w której się zjawiała Niebios Królowa, pod której najświętszem Imieniem świat dziś ją zna cały.

Oto są nauki, oto rady macierzyńskie, jakie ci daje Marja Niepokalana w tej najpierwszej chwili objawienia Swego Bernadecie. Ukochaj i ty oderwanie się, ukochaj samotność i milczenie święte.

Drugie objawienie.

Rozgłos tego widzenia wkrótce rozszedł się wśród sąsiadów. W niedzielę dnia 14 lutego kilka młodych dziewczynek mocno zaciekawionych, przybyło w południe do pani Soubirous, prosząc, aby pozwoliła Bernadecie udać się wraz z niemi do groty. Znały one dobrze Bernadetę, że wbrew woli rodziców nigdy nie nie przedsiębrała i nic nie robiła. Uzyskawszy więc pozwolenie, udały się do kościoła i tam pomodliwszy się, zaczerpnęły we flaszczykę wody święconej, aby nią pokropić zjawisko i odpędzić, jeśliby to był zły duch.

Piękna Pani ukazała się w głębi groty. Bernadeta w zachwyceniu i rozpromienieniu mówi do swych rówieczniczek: «Patrzcie oto Pani zjawiona!» Stosownie do umowy podają jej flaszczykę z wodą święconą. Bernadeta kropi i mówi: «Pani, jeśliś od Boga, zbliż się»; zaś wyrazów, «jeśliś od czarta» w żaden sposób wymówić nie mogła; ponieważ zdało się jej, że te wyrazy wobec tej Pani są straszne i niegodne. Pani uśmiechająca się, gdy krople wody padały na jej stopy, podczas gdy zbliżyła się i nachyliła się ku dziewczynie z wyrazem niewypowiedzianej słodyczy.

Bernadeta uklekła, pochwyciła za różaniec i w zachwyceniu zaczęła się modlić i przyglądać się, będąc niezmiernie uradowaną. Piękna Pani także przesuwiała swe białe perły na nici złotej, a na ostatnie wyrazy Chwała Ojcu i Synowi znikła; a za nią i światło zwoła się rozeszło.

Wieczorem cała prawie wioska o niczem nie mówiła, tylko o cudownem zjawieniu się przy skałach Massabielskich.

Trzecie objawienie.

We środę dnia 18 lutego dwie zacne panie udały się sekretnie wraz z Bernadetą do groty przed wschodem słońca. Dziewczynka stanęła naprzód u groty, gdzie upadła na kolana i zaczęła odmawiać różaniec; wtem wydaje okrzyk radości, widzi najprzód światło, jasny promień, a potem Piękną Panią, która nachyla swą głowę i daje znak Bernadecie, aby się zbliżyła.

Nadeszły dwie Panie i widzą twarz Bernadety rozpromienioną, jaśniejącą, zachwyconą i przemawiają do niej: «Spytaj się zjawionej Pani, czy mamy odejść, czy też pozostać?»

Bernadeta zwraca się do Pani z zapytaniem i zaraz w Jej imieniu odpowiada: «Możecie zostać».

Panie kłękają, zapalają gromnicę, którą przyniosły i mówią do Bernadetty: «Zapytaj się, kto ta Pani i czego żąda». I zaraz podają jej papier, ołówek i przemawiają: «Proś niech napisze swe imię i żądanie». Tymczasem Piękna Pani zaczęła się usuwać wgląd

groty, a za nią postępuje Bernadeta, podając papier, ołówek i mówi: «Pani! jeśli masz co rozkazać, bądź łaskawa, racz napisać: kto jesteś i czego żadasz».

Usta cudownej Pani słodkim okryły się uśmiechem i wdzięcznie przemówiła: «To, czego żądam, pisać nie mam potrzeby, chcę, abyś tu przychodziła jeszcze przez dwa tygodnie».

«O! najchętniej — przyrzekła dziewczynka — że przechodzić będę». Następnie Pani oświadczyła: «Przyrzekam tobie, że będziesz szczęśliwą nie na tym, ale w przyszłym świecie». Skoro opowiedziała Bernadeta to wszystko co słyszała, owe panie, które jej towarzyszyły, prosiły, aby jeszcze powróciła do groty i zapytała, czy i one mogą przychodzić, na co Bernadetta otrzymała odpowiedź, że nie tylko one, ale jaknajwięcej osób może się tu zbierać.

Poczem znikła najprzód sama Pani, a za nią zwolna i światło. Jak się zakończyło trzecie zjawienie.

Gdzie króluje niezgłębione miłosierdzie.

Posłuchajmy co przynoszą nam ostatnie najnowsze uzdrowienia w Lourdes:

1. Kleryk M. Albert Dessailly miał nieszczęśliwe dzieciństwo. Wąty, słaby i chorowity. Po dojściu do lat młodzieńczych zapadł ciężko na chorobę gardła. Pokarm przelykał z trudem i bólem. Badany przez laryngologów oraz poddany radjografji dowiedział się, że tuberkuloza ogarnęła nie tylko przewód pokarmowy, lecz i płuca. Stan był groźny. Nieszczęśliwy kleryk stracił głos i mówił szeptem. Czasami wstawał z łóżka i zgarbiony o lasce, przy pomocy innych przechadzał się po pokoju. Wreszcie lekarze zażądali operacji. Zrobiono odnę prawego płuca. Niestety skutku nie było.

Choroba rujnowała coraz bardziej wycieńczony organizm. Przy wzroście 1.70 m ważył tylko 50 kg! Mając lat 30, wyglądem przypominał starca sześćdziesięcioletniego. Przestał opuszczać łóżko i leżał całymi miesiącami bezwładny, ledwie dyszący z ciężkimi kroplami potu na śmiertelnie bladym czole. Lekarze opuścili bezradnie ręce. Był skazany na śmierć!

W roku 1928 dnia 16 września zawieziono chorego do Lourdes. Natychmiast po przyjeździe wykąpano go, mimo iż woda w grocie miała zaledwie 11 stopni ciepła. Wyjęty z wanny, odzyskał raptem głos i siły. Poprosił o ubranie i ubrał się bez niczyjej pomocy. Lekarze w biurze stwierdzeń byli oszołomieni. Po 48 godzinach waga ciała z 50 wzrosła na 54 kg. Po dwóch tygod-

niach ważył 69 kg i był okazem kwitnącego zdrowia i siły. Żyje do dnia dzisiejszego.

2. Urzędnik Teofil Thiem, zamieszkały w Liege, cierpiał na owrzodzenie dwunastnicy. Choroba ta zazwyczaj kończy się śmiercią. Medycyna może conajwyżej przedłużyć cierpienia chorego na pewien czas.

Thiem odczuwał dotkliwe bóle w piersiach, przelyku i plecach. Pozatem cierpiał na duszność. Trawienie miał złe, a przytem marł z głodu spowodu niemożności odżywiania się. Stosowano zastrzyki i specjalną dietę. Rezultatu dobrego nie było. Chory zwracał wszystko. Lekarze przystąpili do operacji i otworzyli żołądek. Od tej pory chorego odżywiano przy pomocy sondy. Była to raczej męczarnia, a raczej agonja. Po dwóch tygodniach nieludzkich cierpień rodzina Thiema wywozi go do Lourdes. Było to 20 marca 1929 roku. W tym czasie nie było żadnych pielgrzymek. Thiema wykąpano trzy razy. Za trzecim razem lekarze nie mogli założyć choremu sondy, ponieważ otwór w boku znikł bez śladu. Od dnia tego Thiem począł jeść normalnie. Badania w biurze stwierdzeń wykazały, że organizm jest zupełnie zdrowy. Żadnego owrzodzenia dwunastnicy niema.

3. Marja Trolong w 17 roku życia zapadła na całą serję chorób i najpiękniejsze swe lata spędziła w szpitalu. Miała szkarlatynę, potem zapalenie średniego ucha, co spowodowało operację i trepanację czaszki. Po małej przerwie dostaje wrzodów kostnych prawej nogi. W ciągu 11 miesięcy trzy razy leżała na stole operacyjnym. Pod koniec roku zapada na ogólną tuberkulozę kości i przez 32 miesiące znajduje się unieruchomiona w specjalnym aparacie w sanatorjum. W międzyczasie dostaje zapalenia opłucnej, które przechodzi szczęśliwie, natomiast lekarze stwierdzają że zgrozą zapalenie otrzewnej. Jest to groźna choroba nieuleczalna. Kończy się zawsze śmiercią.

Z sanatorjum przewożą chorą do szpitala w Lille i tam operują na ślepą kishkę, której ostre i bolesne objawy wystąpiły niespodziewanie. W miesiąc później musiała nastąpić nowa operacja, polegająca na wycięciu wrzodu tuberkulicznego z lewej strony brzucha. Jednak ratunek był już spóźniony. Tuberkuloza ogarnęła bowiem stos pacierzowy. Chora jęła majaczyć spowodu wysokiej gorączki. Cierpiała ustawicznie na wymioty. Brzuch wzdęty. W urynie znajdowała się ropa. Nerki zostały zaatakowane przez wrzody. Nad nieszczęśliwą krążyła śmierć.

Dnia 24 czerwca 1931 roku Trolong przywieziono do Lourdes. Wystarczyła jedna kąpiel i wszystkie choroby znikły bez śladu!



W Imię Boże.

Opowiadanie z czasów prześladowania chrześcijan w Rzymie.

Kajus, młody gladiator, zdziwił się niezmiernie, gdy w przeddzień wielkich igrzysk, które na cześć Dioklecjana dać miano w Rzymie, zjawił się w podziemiach cyrkowych prefekt stolicy i oznajmił, że chce się z nim widzieć. Zwierzchnik nad setką gladiatorów, wywiczonych do walki orężnej, skłonił się i przed oblicze dostojnika przyprowadził młodzieńca o miłej powierzchowności, zgrabnego w ruchach, jakby z bronzu odlanego.

— Tyś jest Kajus, gladiator? — zapytał prefekt.

— Jam jest — odrzekł tenże.

— Pójdiesz ze mną.

Młodzieniec skłonił się i po chwili wraz z dostojnikiem szli przez ulice miasta.

— Dziwi cię zapewne, dlaczego wziąłem cię z sobą, wiedzę przeto, iż pragnę, abys mi służył dzisiejszej nocy twą dzielną pracą.

— Rozkazuj, panie! — odrzekł młodzieniec.

— Czeka cię nagroda, gdy zachowasz tajemnicę dzisiejszej wycieczki naszej i gdy ręka ci nie zadrży, jeśli każe ci uderzyć wroga. Słyszałem, żeś ty najdzielniejszym szermierzem na miecze. Usługi oddać mi możesz...

Szli ulicą, wiodącą na Kapitol, gdzie wpobliżu wznosiła się świątynia pogańska, w której sam arcykapłan Jowiszowi i Izydzie ofiary składał. Prefekt szedł przodem, a za nim, podobny do pięknego posągu postępował młody gladiator. Na dorodnem jego obliczu widniało zaciekawienie. Wkrótce weszli do wspaniałego wnętrza świątyni pogańskiej, błyszczącej od złota i drogich kamieni.

Musimy się zobaczyć z arcykapłanem, poczekajmy więc za tym filarem.

Przystanęli; wieczór schodził już z góry, promienne światło dnia gasło; za chwilę mroki zapanują nad Rzymem.

Wtem w głębi świątyni ukazał się starzec siwowłosy, o surowem spojrzeniu, o brwiach nastrzępionych, czole zachmurzonym.

— Na Jowisza! córka twoja, dostojny panie, została oczarowana...

Prefekt westchnął.

— Jakto — zapytał z niepokojem w głosie — więc odmawia złożenia ofiary na cześć Izydya?

— Zgodziła się, ulegając moim namowom i pogrożkom, gdyż aż do tego środka musiałem się uciec.

— Więc zgodziła się — powtórzył uradowany prefekt.

— Oto ona... usuńcie się wgląd... idzie złożyć ofiarę bogini.

W istocie zza filarów wyszła dziewczica wielkiej urody i niosąc wieniec kwiatów oraz różne dary, zbliżała się do posągu, wyobrażającego boginię pogańską.

Za tą pełną wdzięku i słodczy w spojrzeniu dziewczicą postępowały w pewnem oddaleniu dwie niewolnice, trzymające wachlarze swej pani.

Arcykapłan postąpił kilka kroków naprzód i ukazując się córce prefekta, rzekł:

— Śmiało, Klaudjo, złoż ofiarę Izydzie. Jeśli nie uczynisz tego, bogini mścić się będzie na tobie i twoich najbliższych... straszna czeka was przyszłość...

Teraz dopiero można było widzieć wielką walkę wewnętrzną, jaka odmalowała się w oczach i w całej postawie młodej Rzymianki.

Stanęła przed posągiem pogańskiego bóstwa i cała drżąca, szeptała coś zcicha.

— Wymów głośno słowa czci bogini... — nalegał arcykapłan.

— Rozkazuję ci, mów głośno! — nalegał arcykapłan.

Wtedy dały się słyszeć słowa wypowiedziane z mocą:

— Nigdy nie oddam czci bogom innym oprócz Boga Wiekuistego, Pana Zastępów Anielskich i Ojca wszystkich ludzi... Wasze bóstwo, na którego cześć codziennie wyprawiacie straszne igrzyska, podczas których płyną łzy i krew ludzka, te bóstwa wasze nie warte czci mojej...

Umilkła i skłoniwszy głowę, odwróciła się do swych służebnic; poczem szybkim krokiem wraz z niemi opuściła świątynię.

— Słyszałeś! — zawołał arcykapłan — słyszałeś, dostojny panie, tak dłużej trwać nie może... Córka twa uleść musi, w przeciwnym razie zginie... Radz więc, póki czas...

Prefekt pochylił zasępione czoło.

— Cierpliwości — wyrzekł — właśnie przyszedłem ci oznajmić, że gdy się dzisiejsza próba z Klaudją nie uda, ja mam środek zniszczenia w zarodku całego gniazda chrześcijan.

Arcykapłan rozpogodził się nagle.

— Mów, jakiż to środek?

— Doniesiono mi, gdzie się zbierają na swe praktyki i modlitwy... Dziś tam udam się w przebraniu, otoczony zaufanymi ludźmi i schwytam tych, którzy rzucili obrzydliwe czary na Klauddję moją... Bez wątpienia uczynił to Rufus, niewolnik ze Wschodu, starzec sześćdziesięcioletni, jego to nauki zmieniły serce mojej córki.

— Czyń, coś postanowił! — rzekł arcykapłan z powagą i z wolna oddalił się wgłąb świątyni.

Wśród cieniów nocy wszedł do podziemia orszak zbrojnych pretorjanów, z prefektem na czele. Podziemia tajemne leżały za miastem; wejście do nich, wśród skał pobliskich, wskazał zdrajca Neofas, Grek, który udawał chrześcijanina.

Prefekt rozkazał, aby postępowano z wolna i ostrożnie.

— Kajus, nie odstępуй mnie! Pamiętaj, com rzekł: uderzysz tego, kogo wskaże, lecz lepiej byłoby wziąć go żywcem.

Młody gladjator brzęknął mieczem.

Szli długo, mając na czele Greka Neofasa, który znał wszystkie zakątki podziemia.

— Kajusie — rzekł znowu prefekt — czyś tylko pewny, że nie ulęknieś się czarów chrześcijan?...

— Jak to, że po tej nocy dzień zaświta, dostojny panie!

Szli wciąż wśród ciemności, наконец w oddali zabłyśły światła.

Ujrzeni wzniesienie, w głębi pieczary, a na niem krzyż błyszczący, z wyobrażeniem Ukrzyżowanego. U stóp krzyża stał kapłan w bieli, przez wiek pochylony i z rękoma złożonemi na piersiach nucił pieśń pobożną. Dokoła niego, jak różnobarwnego kwiecia, jakieś migotliwe i drżące.

— Tak są chrześcijanie — rzekł Grek, zdrajca.

Śpiew dał się słyszeć uroczysty, przez głosy dziecięce, kobiece i męskie nucony. Przed skradającym się orszakiem odsłonił się obraz przedziwnej piękności.

Jak korony, pochylały się głowy wiernych, zasłuchanych w własne głosy błagalne i dźwięk srebrzysty mszalnych dzwonków.

Płynęła pieśń o nieśmiertelności duszy z głębin serc skruszonych, pieśń miłości i przebaczenia, którą Aniołowie Przedwiecznego chwytali i nieśli do tronu Niebios, aby cieszyła i radowała Pana nad pany.

Dzwonki dźwięczały, niby radosna przepowiednia lepszej przyszłości, chóry wiernych wznosiły się coraz wyżej i wyżej, serca rozmodlonej gromadki, szukającej pod ziemią bezpieczeństwa, napępniało błogie uczucie zbliżenia się do Stwórcy, którego Syn ukrzyżowany jaśniał przed nimi w koronie męczeńskiej.

Jakieś dziewczę, wzniosłszy w górę oczęta, błagało Chrystusa Pana.

— Niech i mnie spotka śmierć okrutna, jak drogą matkę moją... I ja chcę zostać umęczoną za wiarę świętą...

Jakiś starzec z pochyloną skronią, bił się w piersi, mówiąc:

— Daj mi światłość wiekuistą, Boże!

Kilka niewiast wraz z dziećmi, skupionych jedna przy drugiej, nuciły pieśń modlitwy strzelistej.

Starzec-kapłan, ukląkł u stóp krzyża i wznosił ramiona w górę. Modlił się, zapomniawszy o ziemi. Duszą uleciał między wybranych.

Wtem okrzyk bólu rozległ się w pobliżu. To ręka zbrojnego żołdaka zbyt szorstko chwyciła za ramię rozmodlonego dziewczęcia.

Popłoch zapanował w podziemiu. Pogasły światła, jakby je Anieli Pańscy pogasili.

Niby stado spłoszonych gołębi, gdy jastrzęb na nie spadnie, tak rozpiezchła się gromadka chrześcijan.

— Do mnie, pretorjanie! — wołał prefekt — pieniąc się z gniewu.

Lecz żołnierze jego, zwykle sprawni, teraz poczynali sobie karygodnie. Kilku nawet uklękło w zagłębieniu pieczary i podniósłszy miecz, którego głównia krzyż naśladowała, modlili się, jak chrześcijanie prawowierni do swego godła wiary.

— Do mnie, żołnierze! — wołał prefekt i wraz z młodym gladjatorem oraz kilku z otoczenia chwycił bezbronne ofiary. Młody gladjator wydał okrzyk triumfu. Białe, jak gołąb starzec, wpadł w jego ręce.

— Mam przywódcę... mam czarownika!... krzyczał, szarpiąc i ciągnąc bezbronnego starca przed Kajusa.

Polów udał się... Grek-zdrajca zwyciężył.

Wielu chrześcijan wpadło w ręce prefekta. Zachowywali się oni z godnością, łagodnością i pokorą wielką.

— Jesteśmy sługi Chrystusa! — brzmiała ich odpowiedź. — Czyńcie z nami co chcecie, nie wyrzekniemy się krzyża...

— Nagrodzę cię złotem i uczynię wolnym! — rzekł do młodego gladjatora — albowiem przez schwywanie kapłana chrześcijan wyświadczyłeś wielką przysługę cesarowi.

W cyrku lud szalał, jak spienione morze, roznamietniony krwawymi widowiskami, które Maksymjan na cześć Dioklecjana urządził, nie skąpiąc złota.

Oczekiwano z niecierpliwością wielkich walk gladjatorów, które się miały niebawem rozpocząć. Właśnie sprzątano z areny zabitych w ostatniem igrzysku chrześcijan, gdy sam Dioklecjan ukazał się w łoży i dał znak do rozpoczęcia zapasów cyrkowych.

Na arenę wystąpiło kilkudziesięciu silnych, tryskających zdrowiem młodzieńców, uzbrojonych jak do boju. Okrzyk zachwytu rozległ się dokoła, gdy się dzielili na szeregi, ażeby następnie uderzyć na siebie.

U wejścia do podziemi cyrkowych stał prefekt Rzymu. Chmura gniewu malowała się na jego czole. Przed nim pochylony starzec jakiś, powtarzał zcicha:

— W imię Boga!

— Pamiętaj, że zginiesz za chwilę okropną śmiercią, w szponach lwa, jeśli nie wyznasz, coście uczynili z córką moją Klaudją. Ostatni raz zapytuję cię, powiedz, czem ją urzekliście, że do was się przyłączyła...

Nic ci, panie, powiedzieć nie mogę nadto, co powiedziałem. Klaudja jest oddawna chrześcijanką.

— Jakim sposobem ty, z niewolnika, stałeś się kapłanem chrześcijan, Rufusie?

— Bóg tak chciał — odparł starzec z godnością.

W tej chwili przesunął się obok nich młody gladiator, kształtny, niby z bronzu odlany.

— Kajusie — rzekł prefekt — ten starzec, którego wówczas schwyciłeś w podziemiu, nic nie wyjawiał... nawet czarów z-mej córki zdjąć nie chce...

— Niech więc idzie na strawę lwom, jeśli zechcą jąc się jego starych kości...

Rzekłszy to, młody gladiator z pogardą spojrział w oblicze starca i szybko wybiegł na arenę.

Tam już kończyła się pierwsza część widowiska. Na piasku leżało kilka ciał poległych w igrzyskach gladiatorów; obecnie miały się odbyć zapasy pojedyncze. Najpierw miał walczyć z siłaczem słowiańskim młody Kajus, a później jeden z jego towarzyszy z panterą.

Właśnie cyrk zadrżał od oklasków i okrzyków, bo młody Kajus z nieporównaną zręcznością natarł na olbrzymiego Słowianina. Miecz młodego Rzymianina ciskał błyskawice, wzrok skrzył się zapalem, a całe oblicze tchnęło pewnością zwycięstwa. Zapaśnik jego, niby niespodzianie ubezwładniony nadzwyczajną zręcznością Kajusa, cofał się z trudem odpierając jego ciosy. Oczy tego gladiatora przymknięte były, jakby je zgasiło płomienne spojrzenie przeciwnika, Kajus triumfował, nacierając coraz silniej na olbrzyma, który wciąż cofał się, jak tur śmiertelnie przez myśliwca zagrożony.

Kajus miał tarczę szeroką, miecz w dłoni i hełm na głowie, wyglądał jak uosobienie Marsa, bożka wojny. Przeciwnik jego walczył, jako tak zwany gladiator-rybak, trzymając w ręku ostry trój-

zab, rodzaj widel, któremi po oplątaniu przeciwnika, miał go przebić.

W zapasach takich, gdy jeden starał się wydrzeć życie drugiemu, obeszli prawie do końca arenę i zbliżyli się do miejsca, gdzie niedawno stał prefekt, a obecnie w postaci skulonej klęczał starzec, kapłan chrześcijański. Nagle stała się rzecz niespodziewana. Ustępujący wciąż przed naporem miecza Kajusowego gładjator-rybak, odskoczył nagle na bok i niby tygrys sam natarł na przeciwnika.

To nagle przejście z stanu obronnego do nacierającego nadzwyczaj zmieszało Kajusa.

Mieczem zakreślił krzywą linję w powietrzu, pochylił się gwałtownie i nagle poczuł, że zdradziecka sieć omotała go niby nieostrożną rybę.

Jednocześnie silne pchnięcie powaliło go na ziemię. — Padł u stóp zwycięskiego Słowianina.

Ten, zagrzybany walką stanął jedną nogą na piersi i gotował się ostrym, strasznym trójzębem przeszyć mu serce.

W cyrku zapanowała cisza. Zdawało się, że widzowie przemienili się w posągi marmurowe. Chwila, a młody Kajus, dotychczas ulubieniec tego tłumu, zginie.

Olbrzym już wzniosł zabójczą prawicę, już cios wymierzał, wtem niby duch z sfer nadziemskich podniósł się starzec w białych szatach i wstrzymał dłoń zabójczą olbrzyma.

— W Imię Boże, odstęp!... Bóg chrześcijan każe miłować bliźnich!...

W postawie starca tyle było godności, wzrok jego wyrażał takie jasne uczucie, że olbrzym opuścił prawicę i puścił Kajusa, nie uczyniwszy mu żadnej krzywdy.

On wstał i jak człowiek nagle wyprowadzony z ciemnicy, spoglądał dokoła, zbierając myśli. Wtem wzrok jego padł na oblicze starca, który znów klęczał zboku areny, i nagle zajaśniał wdzięcznością.

Kajus chciał się rzucić do nóg swego wybawcy, lecz tłumy w cyrku, niezadowolone z rozwiązania walki, ryczały, żądając nowych igrzysk.

Jakoteż wypuszczono dzikie zwierzęta i wprowadzono gromadkę chrześcijan, do której zaraz zbliżał się znany nam starzec-kapłan.

Kajus zadrżał; byli to ci chrześcijanie, których on pomagał w podziemiu oddawać w moc prefekta. Przyslonił ręką oczy, ustępując z pola walki, a gdy je po chwili odsłonił, ujrzał strasznego

obraz śmierci męczeńskiej na arenie. Starzec a wraz z nim gromadka chrześcijan już nie żyli.

Wtedy uczuł, że stało się z nim coś niepojętego. Więc on przyczynił się w głównej mierze do śmierci tych niewinnych?... do śmierci tego starca, który mu uratował życie?...

Kajus ukrył twarz w dłoniach, zaszlochał, jak dziecko, a później wybiegł, jak szalony na ulice Rzymu. Błakał się dzień cały, nie mogąc się uspokoić, a gdy noc zapadła, udał się do chrześcijan, aby im oznajmić, że przyjmuje ich wiarę.

Był on później jednym z najgorliwszych siewców Słowa Bożego na dalekim Wschodzie.

Prefekt stolicy, potężny i możny patrycjusz, opływający w dostatki, zazdrości ostatniemu nędzarzowi, który może ucisnąć swe dziecię; on, na którego skinienie straż zbrojna podnosi setki mieczów, jest pozbawiony tej pociechy, on nie wie nawet, gdzie się jego jedyna córka Klaudja znajduje.

Nadaremnie wysyła na zwiady najsprytniejszych ludzi, nadaremnie odbywa dalekie podróże, wypytuje przejezdnych kupców, obiecuje nagrody. Klaudja od owego pamiętnego wieczora, gdy ojciec jej wydał na męki kapłana chrześcijan wraz z garstką wiernych zniknęła bez śladu. Nikt z domowników nie wiedział, gdzie się podziała.

Prefekt składał kilkakrotnie ofiary na cześć Junony, to znowu u stóp posągu Izidy błagając, ażeby wróciła mu córkę, lecz nadaremnie.

Wreszcie nastały chmurne dni jesienne, a o córce wieści nie było, smutek jego przebrał miarę, zamienił się w rozpacz. Zgnębiony prefekt zwrócił się wreszcie do Boga chrześcijan, czyniąc w głębi ducha swego ślub, że jeśli córkę odnajdzie, uwierzy w Chrystusa.

I zdarzyło się, że wkrótce wybrał się na Wschód, gdzie wiele pustelni chrześcijańskich istniało, ażeby zasięgnąć rady u któregośkolwiek z pobożnych pustelników.

Wieczór zapadł, gdy wraz z przewodnikiem zbliżał się do niewielkiej oazy, gdzie kilkanaście świątobliwych niewiast prowadziło życie na cześć Boga poświecone.

— O, gdybym tak między niemi odnalazł córkę moją — westchnęła i smutnie zwiesił głowę.

Gdy podniósł oczy, ujrzał nagle w oddali postać niewieścią, która z dzbankiem w rękę szła do pobliskiego źródła.

— To ona! to Klaudja!

Przyspieszył kroku i spieszenie zbliżył się za nią do źródła, poczem, zmieniając głos, cały wzruszony zapytał:

— Czy nie znasz, dobra dziewczyna, Klaudji, córki prefekta Rzymu?

Na ten głos i na to pytanie drgnęła, oblicze jej, na którem malowało się cierpienie, nagle radość rozjaśniła.

— Kto jesteś ty, że o Klaudję pytasz? — rzekła, spoglądając na nieznanego.

Wtedy wypadł dzban z rąk Klaudji, kolana ugięły się pod nią.

— Przebacz mi, przebacz — zawołała, tuląc się do uszczerbionego ojca.

On podniósł ją i do serca przycisnął.

— Nie trwóż się, dziecię moje, od tej chwili wyznaję twego Boga.

I upłynęło lat kilkanaście. Nad państwem rzymskiem zapanała Konstantyn Wielki, a wraz z nim zatriumfowała wiara Chrystusa nad światem pogańskim.

„Dzieła Boże“ w Wenchow (Chiny).

Skończyły się upały letnie, nadeszła ciepła, sucha, miła jesień, czas najodpowiedniejszy do wędrówek misyjnych. Ryż w polach dojrzewa, za parę dni żniwa, wszystkie ręce oczekują tej miłej pracy. Żniwa to jak burza, wszystko wre, nikogo się nie odezwie od pracy, domy puste, mężczyźni zapracowani na roli, kobiety suszą ryż, wybijają ostatnie wasy, gromadzą w spichlerzach. Dziś, jak przed burzą, czas spokojny, zatem wykorzystujemy ten moment na żniwo duchowe. Nauczanie ewangelji u nas to rzecz zwyczajna, poco o tem pisać. Rolnik ciężko pracuje, a nie chwali się tem. Poco naszą pracę głosić przed światem? Nie miałem ani ochoty, ani czasu do pisania, jednak kiedy się widzi cuda łaski Bożej, trudno o nich zamilczeć.

Wybrałem sobie do zwiedzenia najbardziej górzystą okolicę naszego okręgu, bo tam jeszcze nie byłem. Okolica Je-sü uchodzi za najuciążliwszą. W tej wędrówce towarzyszył mi wiernie Ks. Paciorek, świeżo przybyły do nas. Obawiałem się trochę o niego, bo to obywatel amerykański, wychowany w dobrobycie, a tu trzeba spać na desce, nie zawsze w zamkniętym pokoju, umywalni z ciepłą i zimną wodą niema, jedzenie jak u górali i t. d. Jednak przeszedł mężnie ten chrzest ognia i trudów, a na końcu przyznał się: «Myślałem, że będzie gorzej».

We wszystkich miejscowościach panuje dokuczliwa malarja. Ludzie bladzi, ledwo nogi włączą, wielu wcale nie przyszło. Miałem trochę chininy i aspiryny; rozdzielałem, ale wszystkiego zapotrzebowanie ogromne. Trzebaby te środki stosować metodycznie, przez dłuższy czas. Parę ziarenek to tylko nato, aby ludziom okazać, że współczujemy z nimi.

Mojem zdaniem nie można rąk opuszczać, ale trzeba szukać sposobu pracy. Najpewniejszym sposobem szerzenia religji jest szkoła. Rodzice nie mają czasu, ani głębszego zrozumienia religji, ale dzieci do szkoły przysła, pozwolą im uczyć się religji, nawet nie bronią chodzić z innemi dziećmi szkolnemi do kościoła. Z praktyki przekonuję się, że te dzieci doskonale pojmują prawdy wiary św. i są o nich przekonane, co daje rękojmię gorliwości na przyszłość. Myślę wkrótce otworzyć dwie, albo trzy takie szkółki. Dzieci zapewnione, ludzie obiecali mi je przysłać, w każdej miejscowości około dwudziestki, w jednej około pięćdziesiątki. Lokale nawet od biedy są, ale potrzeba przyborów szkolnych i nauczyciela, co znowu wydatek na jedną szkołę około 200 zł na rok. Jednak być musi, bo to jedyny sposób zapuszczenia korzeni. To, co powierzchowne, burza zmiecie, co tkwi w gruncie serca — zostanie.

Ogromną pomocą w misji były dla mnie obrazy katechizmowe. Nosilem ich szesnaście, dużych rozmiarów, w rulonach, nalepionych na płótnie. Zawierają one najważniejsze prawdy wiary św. Po przybyciu do kaplicy, zaraz z południa, rozwieszaliśmy je na ścianie domu. Wystarczyło, że jedno dziecko je zauważyło, biegło do domu i zawiadamiało całą wioskę po drodze. Ciekawi zaraz napływali. Wszyscy powiadali *No ni śi*, t. zn. bardzo uroczyście. Chińczycy pod tym względem są bardzo ciekawi. Dużo biedy, nawet nędzy, ale ślub, pogrzeb musi być bardzo uroczysty. Domy wtedy stroją niesłychanie, ognie sztuczne, strzelanina, muzyka, bonzowie, modły, ucztę. I u nas, jeżeli w kaplicy jest coś nadzwyczajnego, lubią to bardzo, schodzą się i siedzieliby do północy. Moment to dobry, bo można im wtedy kazania głosić bez końca, słuchają z zapałym oddechem. Oczywiście korzystamy z tego skwapliwie. — Jedzie się czasem w łodzi, ludzi dużo, zaraz znajdzie się jakiś lirnik, który często przy dźwięku jakiegoś instrumentu zaczyna recytować epopeje chińskie, opowieści o bohaterach. Wtedy wszystko milknie, zamienia się w ucho. Oczywiście, na końcu trzeba mu dać miedziaka. Bywa czasem, że ślepi, czasem podrostki, wyuczą się paru wierszy deklamacji i z gongiem w rękę obchodzą wioski i zarabiają na życie, wszędzie mile widziani.

W naszych kaplicach zazwyczaj katechistom zlecałem rolę kaznodzieji katechizmowego. Nauka trwała do modlitw wieczornych. Jeżeli pogan było dużo, a chrześcijan mało, wtedy kaplicę zapelnili pierwsi, a kazanie głosiłem sam o istnieniu Boga Stworzyciela, o duszy ludzkiej, o odkupieniu, o rzeczach ostatecznych, o konieczności zbawienia, z czego oczywiście niemal korzystali i chrześcijanie. Po skończonem nabożeństwie wieczornem, jeżeli była pogoda, siadaliśmy na polu na ławeczkach i znowu z poganami pogawędka na temat religijny. Razu jednego siedzieliśmy późno w noc. Przybiega jakiś mężczyzna, znajduje swego syna, może piętnastoletniego i dalej na niego. «A ty, czemu nie w domu?» Stary widzi jednak dużo ludzi, słyszy opowiadanie, pod słuchuje, siada i sam odszedł jeden z ostatnich. Innym razem nie czekałem końca, poszedłem spać na strych. Przez sen słyszałem, jak sobie powtarzali: «A więc protestantów to Luter założył; Luter, człowiek zły, więc i nauka jego...» Rano pytam katechistę, kiedy poszedł spać? Powiada, że koło dwunastej.

Przychodzą i protestanci, żeby się przysłuchać, odchodzą przynajmniej z bólem serca i niepokojem, bo myśleli, że są na dobrej drodze, a dowiadują się, że duszy nie zbawią. Jeden z nich prosił mnie o obraz dla swej rodziny. Porzucił protestantyzm i przyszedł do nas, bo widzi, że katolicka wiara jest lepsza. Tamtą człowiek założył, a tę — sam Bóg. Dziwna rzecz, że protestantów pociągają do nas nasze najprzykrzejsze praktyki. Do takich upokarzających należy bezsprzecznie spowiedź. Przychodzą do nas dusze oczyścić. Pastorzy nie wiedzą, co mają robić. Urządzają gdzieś spowiedzi publiczne, ale to wywołuje zgorszenia. Obecnie słyszę, że zaczynają próbować spowiedzi usznej. Jeden pastor ogłosił, że kto poczuwa się do grzechu, może go wyznać pastorowi europejskiemu czy chińskiemu na osobności. Widziałem, że w Europie i Ameryce protestanci zarzucili krzyż. Na ich zborach, zwłaszcza w Ameryce, nie zobaczy się go, na grobowcach ani śladu. Tymczasem tutaj przyjmują zwyczaj katolicki stawiania krzyżów.

Po drodze wstąpiliśmy raz do jednego gorliwego katolika. Niedawno był jeszcze głową protestantyzmu w swej wiosce; u niego stawali pastrowie. Nawrócił się i dużo zepsuł protestantom, którzy nie mogą mu tego darować. Innym razem zaprasza nas rodzina katolicka na kolację. Wioska składa się może ze sześciu domów, a w każdym około trzy rodziny. Niestety cała osada protestancka, rodzina katolicka jest jedyną. Skorośmy się zjawili u progu domu, schodzą się liczni ciekawi, wywiązuje się dysputa. Niektórzy byli w dobrej wierze, zakłócili im sumienie. Jedna

kobieta, strasznie wygadana, nie daje za wygrane i powiada: «My tam wszystkiego dobrze nie rozumiemy, ale nasz pastor wie wszystko». Mąż jej zaczął się do nas skłaniać, żona go zakrzyzczała: «Co ty tam będziesz gadał, ty jesteś głupi, pastor wie wszystko». Inna jedna! starsza powiada: «To więc my protestanci nie będziemy zbawieni?» «A nie — odpowiadam — bo was Luter założył». — Pytamy ich, do jakiej sekty należą? Nie bardzo wiedzieli. Od nas dopiero usłyszeli, że protestanci są podzieleni na sekty, a każda mówi, że ma prawdziwą naukę P. Jezusa. Pytają czy i my mamy sekty? Ze zdumieniem dowiadują się, że u nas jedność, sekt niema. Rozmowa nasza z niewiastami, jak P. Jezusa ze Samarytanką nad studnią, myślę, zostawiła głębokie wrażenie.

Po drodze do ostatniej placówki Czian-sa (złota góra) pokazują mi dużą jaskinię sztuczną, zbudowaną z kamieni. Przed paru laty w czasie burzy schroniła się tu grupa przechodniów, mężczyzn przeszło dwudziestu. Uderzył piorun, trzech zabiło na miejscu, innych czterech zostało ciężko porażonych.

«Złotej góry» nie zapomnę jednak nigdy i o nią mi chodzi przedewszystkiem tutaj, bo okazała się tu widoczna opieka Boża. Chrześcijananie tu zupełnie nowi. Rok temu, jak dostali nauczyciela, który zastępuje i katechistę. Kaplica mieści się na strychu, wynajęta. Ludzi zeszło się dużo, obrazy ściągnęły mnóstwo pogan. Po kolacji zapowiadamy poganom, że po modlitwach wieczornych mają przyjść na strych na kazanie. Niektórzy zostali na dole, oglądają obrazy, inni poszli na modlitwy za nami. Klęczę przed ołtarzem, obok ks. Paciorek i katechista, za mną dwa szeregi ławek po bokach, pełne ludzi; w środku miejsce wolne, dalej stoi dość dużo mężczyzn. Pod koniec modlitw słyszę trzask, płacz, wołanie zdołu, lament. Już wiem, co się stało. Boję się oglądać. Załamała się podłoga, ludzie zlecieli nadół. Z bólem myślę o zabitych, a w każdym razie o połamanych rękach i nogach. Co tu na tej wsi dalekiej robić? Wszystkie następstwa przeleciały mi przez głowę lotem błyskawicy, bo o takich wypadkach już słyszałem! Mimo wszystko oglądam się i widzę dziurę w podłodze na parę metrów kwadratowych. Dzieci płaczą, biegają. Chwytam je, by nie wpadły, daję rozkaz: «Schodzić», bo chcę strych odciążyć. Schodzę ostatni. Katechiści mi powiadają, że spadła kobieta z dzieckiem na ręce, rękę nadwyreżyła. Sam idę zobaczyć. W rzeczywistości nic groźnego — stłukła trochę, ale nie skaleczyła ręki. Spadła na łóżko dla mnie przygotowane na noc. Skończyło się na strachu.

Okazało się, że jedna belka spadła jednym końcem, druga

belka złamała się w połowie i została. W pochylej belce pełno wystających gwoździ, przez tę belkę musiała się ześlizgnąć po deskach owa kobieta. Nie się na niej nie podarło. Belki puściły pod ławkami, ławki pełne ludzi, całe belki nie wytrzymały, złamane nie dopuściły do upadku ławek! Oczywiście tę widoczną opiekę Bożą zaraz wykazałem ludziom w kazaniu. Owej kobiecie, co spadła, powiedziałem: «Dziękuj Bogu, bo to Jego widoczna opieka». Dowiedziałem się potem, że to poganka, która przyszła przysłuchać się kazaniu.

Rano 17 października odprawilem już na dole Mszę św. dziękczynną i zaraz puściłem się w drogę powrotną po dziesięciodniowej wycieczce misyjnej. «Złota Góra» jednak położona na szczycie. Ach, ileż to schodów trzeba było wydeptać, by zejść do okręciku, który kanałem miał nas zawieźć do Wenchow. Po drodze spotykaliśmy duże wioski, jedna liczy tysiąc rodzin, inne — po kilkaset. Naszych kaplic tam niema. Protestanci mają i po dwie i trzy. Ludzie bardzo zacni i prości. Grunt pali nam się pod nogami, nagwałt trzeba księży i środków, by się tu wcisnąć, diabła wyrzucić, pagody liczne pozamykać, a dusze Boga oddać.

Jeszcze słówko o zajęciach tych pocziwych górali. Prawie wszystko wyrabia papier. Bambusu mają poddostatkiem, suszą go, moczą, tłuką w stępach kamiennych, pędzonych wodą i wyrabiają duże arkusze szarego papieru. Cały ten przemysł niesłychanie prymitywny, ale daje utrzymanie całej okolicy. Codziennie wczesno rano mężczyźni, a nawet dziewczęta starsze, niosą ten papier na ramionach do wioski na dole, skąd łodziami olbrzymiemi odstawiają to do miasta. Noszenie to, po tysiącach schodów, niesłychanie uciążliwe. Spowrotem do góry niosą zawsze kosze wapna, ryżu, soli, ryb suszonych i t. p. Widziałem setki, a może tysiące tych ludzi, jak już wracali koło południa pod górę, obładowani, przepoceni do nitki, w skwarnem słońcu.

Pomyślałem, jak ci ludzie niesłychanie ciężko pracują, dźwigają, po takich drogach! I to prawie wszystko poganie. Nawet w niebie po śmierci nie odpoczną za te trudy nadludzkie! Oby im Pan Bóg jaknajrychlej dał światło wiary, by praca ich była zasługująca na żywot wieczny.

Wróciłem do domu popołudniu. Opowiadają mi, że ks. Ciemala rano poszedł na misje w góry Ku-tchy. Przyspieszył wyjście, bo wołano właśnie do chorego, do najdalszej kaplicy, jaką miał zwiedzić. Na drugi dzień donoszą nam ludzie, że w tej okolicy są bandyci. Około siedmdziesięciu komunistów stało w wiosce Do-ke, ks. Ciemala był za nimi jeszcze dalej, bo w Dzo-ke. Mogli bardzo łatwo się spotkać. Dwa, trzy dni później ks. Ciemala

miał misję w Do-ke, ale już komuniści poszli dalej, zostawili w kaplicy tylko napisy, nawołujące do ich zasad. I to widoczna opieka Boża.

Ks. Paweł Kurtyka C. M.

Wenchow (Chiny) listopad 1935 r.

Stajenka Shuntehfuska.

Cztery lata temu wypakowaliśmy skrzynie, przywiezione z Polski. Dary polskich lekarzy i Sióstr Miłosierdzia dla pierwszej polskiej placówki medyczno-misyjnej w Chinach pozwoliły na natychmiastowe otwarcie przychodni ocznej, a w parę miesięcy i szpital został uruchomiony. Nie zastanawialiśmy się długo nad tem, czy Misja ma podjąć się leczenia chorych. Nakaz Zbawiciela zmuszał nas do tego. Trudniej było z decyzją, czy pomoc medyczna z ramienia Misji ma być postawiona na wysokim poziomie pod kierunkiem fachowym lekarskim, jak to robią liczne sekty protestanckie w Chinach, utrzymujące na europejską modłę urządzone szpitale niemal w każdym większym chińskim mieście. Niema jak doświadczenie osobiste. Ono nas nauczyło, że Chińczyk już potrafi odróżnić lekarstwo, dane w imię miłosierdzia, od pomocy, udzielonej w imię miłosierdzia i nauki, jak tego żąda Ojciec św. O ile ofiary z Macierzy nam pozwalają, dążymy i my do naukowej organizacji medyczno-misyjnej na naszym terenie.

Jest szpital. Potrzebni są infirmarze. Jak ich stworzyć? Od początku pracy powołaliśmy paru «sjeszenów» do nauki praktycznej przy szpitalu. Stopniowo dzieło kształcenia «katechistów-infirmarzy» rozrosło się, ponieważ nasi obwodowi księża zarządzali otwarcia ambulanów w pomniejszych placówkach naszej Misji, a nawet sąsiednie wikaryaty zwróciły się do nas z tą samą prośbą. Dziś przeto — na głos Opatrzności — ukształtowała się szkoła pielęgnarska misyjna, w której obecnie pobiera naukę dla zadań misyjnych 19 pielęgniarek i pielęgniarzy.

Kurs regularny trwa dwa lata. Wykłady obejmują etykę pielęgniarza misyjnego, higienę (w tem anatomja i fizjologja), pielęgnowanie w chorobach ocznych, pielęgnowanie dzieci. Program ten całkowicie dostosowano do potrzeb misyjnych naszej placówki, gdyż szpital i przychodnie podjęły się specjalnej pomocy lekarskiej w zakresie przedewszystkiem chorób dziecięcych i ocznych. Dla starszego kursu są również wykłady angielskiego języka, najbardziej rozpowszechnionego języka wśród obcych języków w Chinach.

Do niedawna szkoła posiadała tylko salę wykładową, uczniowie zaś mieszkali, gdzie się dało. Rok bieżący pierwszy ogląda osobny budynek dla szkoły. Nasze Siostry Miłosierdzia dawno pragnęły wybudować specjalne pomieszczenie, ale brak środków nie pozwalał na to. Wobec tego przekształcono s t a j n i ę n a s z k o ł ę. Siostry wołały ścieśnić gospodarkę, byleby dać pomieszczenie uczniom szkoły. Ładne to jest obecnie i przytulne, mimo że nad wyraz ubogie. Przy poświęceniu czcigodny Ks. Prefekt Ap. podkreślił w swem przemówieniu, że szkoła nasza szczyli się pewną wspólnotą losu ze stajenką Betlejemską: tamta przytuliła Zbawcę świata, pierwszego Misjonarza, — ta przygarnęła gromadkę niewiast chińskich, w tem kilka zakonnic, pragnących wzorem Zbawiciela nieść w najdalsze wsie światło Jego prawdy i pomoc w cierpieniu.

Właśnie dziś obchodzimy małą domową uroczystość. Jedna z uczennic starszego kursu, panna Lju, skończyła swe studia, chlubnie wykazała się w pracy próbnej w przychodni centralnej i dziecięcej. Jutro odjeżdża do Kiulu, odległego od nas o 60 klm. Założy tam przychodnię obwodową, trzynastą na terenie naszej misji. Wciela się nasz plan, rzucony na początku działalności, ażeby każda wiejska nasza misja posiadała przychodnię dla chorych z ramienia Kościoła. Koszta przychodni są następujące: lokal rocznie 100 zł., urządzenie — jednorazowo 100 zł., infirmarze — 250 zł. rocznie, a lekarstwa również kosztują. Przez te przychodnie nawiązuje się z poganami ścisły kontakt, który ma wielkie znaczenie dla Misji. Możliwość założenia i utrzymania takich przychodni polecamy Opatrzności Bożej. Ufamy, że znajdzie się gromadka ludzi dobrej woli, która obejmie tę lub inną przychodnię: czy to u ks. Stawarskiego w Kiulu, czy u ks. Czapli w Tasindżuanie, czy u ks. Kotlińskiego w Szachopejdżan, czy u ks. Redzimskiego w Czankudże. A może którą z przychodni miejskich, prowadzonych bezpośrednio przez Siostry Miłosierdzia? Wybór nader bogaty, a nagroda niemała, bo od samego Ojca niebieskiego.

Teraz wiadomo, dlaczego w tytule podano stajenka.

Ks. dr Szuniewicz C. M.

Shuntehfu w lipcu 1935 r.

Bardzo prosimy o łaskawe nadsyłanie prenumeraty tak bardzo potrzebnej do ostanienia się naszych dzieł!

Za każdy grosz serdecznie dziękujemy i obiecujemy stałą pamięć w modlitwach.

Wieczny żebrak.

Dziwny to żebrak! Nie wziąłbyś go za takiego. A jednak staje u drzwi i prosi. Prosi o jałmużnę. Cała postawa pokorna. Wejrzeniem oczu: «Dla miłości Jezusa nie żałuj mi jałmużny...» Wsunął mu datek w wyciągniętą dłoń. Podziękował słowem Bożem, uśmiechnął się, a uśmiech ten zaświtał ci w sercu jak jasny promyk słońka wiosennego; skłonił się głęboko i poszedł dalej kołatać do drzwi ludzi szlachetnych. Do chat ubogich, do zagród zamożnych, do kamienie piętrowych, pałaców wspaniałych — wszędzie kieruje swe kroki. U każdego progu staje cichy i żebrze...

Dziwny to żebrak! Wczoraj go obdarzyłeś, a oto ledwoś drzwi mieszkania otworzył na poranne słońce, znów stoi u twego progu. Tak jak wczoraj. I znów prosi. Dziękując za wczorajszą hojność, prosi o więcej. Im dłużej mówi, tem bardziej mięknie twe serce i dajesz mu, nie licząc nawet ile...

Dziwny to żebrak! Znów go widzisz u twych drzwi! — Ta natrętność budzi w tobie niechęć i już chcesz rzec słowo szorstkie, odpychające... gdy głębokie spojrzenie, o dziwnej mocy przekonującej, pociągającej zamyka ci usta, a w sercu budzi dziwne uczucie... Czujesz, że ulegniesz... Broniąc się, pytasz: «Dla kogoż to prosisz? Na co ci tyle potrzeba?» — «O, nie dla siebie ja proszę! Mnie niczego nie potrzeba! O mnie troszczy się Opatrzność. Ale dla biednych i opuszczonych, dla najbiedniejszych, dla nędzarzy. Muszę przygarnąć setki, tysiące..., zaopatrzyć ich potrzeby, zbudować im przytułek...» Wyjmujesz resztki ze skarbonki. «A ktoś ty jest?» — Uśmiechnął się, spojrzał na ciebie i odsłonił żebraczy ubiór... Oh!...

Dziwny to doprawdy żebrak. Już go znasz — to misjonarz! Czyż możliwe?

To misjonarz z dalekich krajów misyjnych wyciąga dłoń po jałmużnę. Bez przerwy. List za listem śle i prosi. Coraz więcej. Coraz częściej. Coraz natarczywiej! Nie dla siebie, o nie! Dla pogan. Musi ich przygarnąć, oświecić ich dusze, umocnić we wierze, umieścić w kościele. — A czemuż coraz więcej żąda? — Bo coraz więcej znajduje nędzarzy na drodze swego apostołowania. Coraz więcej musi otwierać katechumenatów, budować sierocińców, kaplic czy też kościołów.

Nie dziw się. Jeszcześ nie zamknął drzwi, a on znów puka: w Rocznikach Marjańskich, w Misjach XX. Misjonarzy i Sióstr Miłosierdzia, w Rocznikach Dzieciństwa Pana Jezusa,

puka do ciebie ręka Siostry Miłosierdzia, to znów nasyla Ci po-bożną Pomocnicę misyjną — Dziecko Marji; podstawia ci skar-bonkę misyjną; zaprasza na akademję lub wystawę misyjną — wszędzie go spotykasz i widzisz.

Daleś mu nieco, a może i wiele posłałeś mu w dalekie strony — nie sądz, żeś się wykupił. Przyjdzie jeszcze do ciebie. A kiedy, przechodząc obok ciebie ze serdecznem tylko pozdrowieniem, nie prosi słowy, wiedz, że nie śmie, że obawia się być zbyt natarczy-wym, urazić cię. — Więc choć nie prosi, ty jednak masz — daj mu ochoczem sercem. *Ks. Czapla, misjonarz z Tasnidzuan.*

Polacy w Szanghaju.

W Szanghaju stanęliśmy w sobotę 9 marca 1935 r. Podróż nasza z Warszawy przez morza do Chin trwała 28 dni. W po-niedziałek udaliśmy się do polskiego Konsulatu, aby załatwić sprawy paszportowe i poprosić o pomoc celem wydostania skrzyń z komory celnej. Siostry Miłosierdzia w Warszawie powierzyły naszej opiece pół tony lekarstw i przedmiotów liturgicznych dla Szuntehfu. Komisarz celny domagał się koniecznie cła. O celach dobroczynnych nie chciał wiedzieć. To też pomoc naszego Kon-sulatu była konieczna. Zanim podam statystykę Polaków w Szang-haju, wtrącę tu kilka zdań o naszych kłopotach na komorze celnej. Pan minister Jerzy Waydenthal de Bartel przyjął nas bar-dzo serdecznie, również dużo serca okazał nam p. konsul dr. Jan Krysiński. Pierwsze pismo polecające, zwrócone do komisarza ko-mory celnej, nic nie pomogło. Trzeba było sporządzić listę wszyst-kich 10 skrzyń i kosztów i opisać zgrubsza ich zawartość. Z dru-giem pismem polecającem pojechał p. attache Dembiński do gma-chu Banku Centralnego, gdzie u góry ma swoje biuro delegat mi-nistra finansów z Nankinu. Poszliśmy tam, a raczej uniosła nas winda do góry. P. Dembiński chciał widzieć się osobiście z dele-gatem, ale powiedziano mu, że wyjechał już do Nankinu i tak prędko nie wróci. Poszliśmy do generalnego dyrektora komory celnej, gdzie jeden z urzędników oznajmił nam, że dyrektor wła-śnie dziś jest operowany, a jego sekretarz utrzymywał, że wpra-wdzie nie jest operowany, ale pojechał na miasto do biura Lo-terji Państwowej i wróci o 2-ej popołudniu. Przyszliśmy więc po-południu o 2-ej. Czekaliśmy do 3-ej. Nie wrócił. Wychodząc do-wiadujemy się po drodze, że ci obaj panowie są w gmachu. Okła-mywano nas umyślnie, bo widocznie takich petentów o ulgi celne,

jak my, jest tam codziennie dużo, nic więc dziwnego, że ci panowie bronią się, jak mogą, zwłaszcza że zawsze rozchodzi się o oskubanie ich kieszeni wzgl. kasy skarbu. Poszliśmy więc na komorę celną i otworzyliśmy nasze walizy, kosze i skrzynie. Urzędnicy byli bardzo grzeczni, zwłaszcza gdy do nich przemówił p. Dembiński. Groziło nam zapłacenie cla za lekarstwa w wysokości około 1000 zł. Zapłaciliśmy tylko 200 zł. Nie chcieli bowiem wierzyć, że to są lekarstwa dla biednych Chińczyków. Posądzali nas, że mamy aptekę, w której sprzedajemy te lekarstwa z zarobkiem dla siebie. Do ministra w Nankinie nie warto było pisać, bo odpowiedź nadeszłaby za miesiąc, a codzień trzeba uiszczać opłatę od każdej skrzyni, leżącej na komorze celnej. Wreszcie otrzymaliśmy nasze rzeczy, które wysłaliśmy pociągami towarowymi do Szuntehfu. Byliśmy bardzo wdzięczni p. Dembińskiemu i p. ministrowi Waydentalowi za opiekę, okazaną nam na chińskiej ziemi.

W konsulacie dowiadywałem się o liczbę Polaków w Szanghaju. Biuro ma tylko spis tych polskich obywateli, którzy mają polski paszport. Jest ich przeszło 200, w tem około 40% Żydów. Gdyby jednak był jaki kapłan polski, któryby gromadził Polaków na kazania i zebrania, możeby w tem trzymiljonowem mieście przyznało się jakie 500 osób do narodowości polskiej. Są w Szanghaju napewno Polacy, którzy mają już obywatelstwo chińskie, są też i tacy, którzy tu na krótki czas przybywają. Nie wie o nich ani konsulat, ani komitet polski, któremu przewodniczy p. Pelz. Mimo skromnej liczby Polaków, komitet polski urządza uroczystości polskie w maju i listopadzie. W ubiegłym roku zaprosił komitet księży z Polskiej Misji w Wenchow. Na zebraniach przemawiali ks. dr. Paweł Kurtyka i ks. Łukasz Sitko, obaj księża Misjonarze św. Wincentego a Paulo, którzy przybyli z Polski na misyjną pracę do Chin Południowych. Ks. Kurtyka miał też rekolekcje dla robotników polskich w Szanghaju. U spowiedzi św. było tylko trzydziestu kilku. Zatem niema żadnego porównania Polonii w Szanghaju z Polonią w Nowym Jorku, gdzie Polaków jest 70 tysięcy. Poza Szanghajem są jeszcze Polacy w Nankinie, Pekinie, Tientsinie, Kantonie, Hongkongu, ale wszędzie w znikomej liczbie.

W wielkim szpitalu szanghajskim Ste Marie Hopital, który jest pod opieką francuskich Sióstr Miłosierdzia, pracują dwie polskie Szarytki: S. Zagrodzka i S. Jacuńska, pierwsza z prowincji krakowskiej, a druga z warszawskiej. S. Zagrodzka ubolewała nad tem, że w Szanghaju brak jest polskiego księdza, któryby Polakami serdecznie się zaopiekował.

K. Jęczmionka, C. M.

Ze świata katolickiego.

W Rzymie odbywają się przygotowania do 1600-nej rocznicy śmierci św. Sylwestra I, papieża, świadka i uczestnika wielkiego triumfu Kościoła podczas panowania cesarza Konstantyna Wielkiego. Uroczystości rozpoczęły się 31-go grudnia ub. r.

Piękna była śmierć marszałka Włoch, senatora Ettore Giardiniego, męznego żołnierza z czasów wielkiej wojny. Gdy miał nadejść kapłan z Wiatykiem, nakazał wszystkim obecnym wojskowym wyjść na powitanie Najśw. Sakramentu ze świecami w rękę i utworzyć szpaler honorowy. Po Komunji świętej zażądał Ostatniego Namaszczenia i zatopił się następnie wspólnie z kapłanem w gorącej modlitwie.

Po raz pierwszy od wielu lat powołano do Kolegium przedstawiciela obrządku syryjskiego, a mianowicie patriarchę Antjochji, ks. Tappouni, rezydującego w Bejrucie. Z 20 nowomianowanych kardynałów należy 8 do różnych urzędów i kongregacyj watykańskich. Po dokonanych nominacjach kolegium kardynalskie składa się z 69 członków, w tej liczbie 38 Włochów i 31 cudzoziemców.

Ojciec święty przemówił drogą radiową do uczestników pierwszego kongresu krajowego w Limie, stolicy Peru, w którym wyraził swą radość, że tak pięknie święcono czterechsetlecie założenia miasta, które dało pierwszy kwiat świętości na ziemi amerykańskiej w osobie św. Róży z Limy.

Ojcowie Paulini przejmują na nowo dawniejszy swój klasztor na Węgrzech, z którego to powodu przebywał w Budapeszcie generał Zakonu O. Pius Przeździecki wraz z prokuratorem klasztoru O. Wincentym Olszewskim.

Jak za czasów Nerona dzieje się w Meksyku, arcybiskup Guadaljary dokonał bowiem wyświęcenia 20 nowych kapłanów w tajemnicy przed władzami w ukrytej podziemnej jaskini, która służy arcybiskupowi za świątynię.

Dnia 15 listopada b. r. uzyskały niepodległość Filipiny, wyspy na oceanie Spokojnym. Przez 10 lat wprawdzie pozostaną jeszcze pod protektorem Stanów Zj. Am. Półn., w celu uchronienia ich przed zabobrością Japończyków. Z pomiędzy trzech kandydatów: Jose Aquinaldo, człowieka nieszczęśliwego, odstępcy i twórcy nowej sekty, Gregorio Aglipay, przedstawiciela komunistów i Manuela Quezon, byłego masona, ale obecnie gorliwego i praktykującego katolika, został wybrany na prezydenta tenże ostatni. W Manili, stolicy Filipin, odbędzie się najbliższy Międzynarodowy Kongres Eucharystyczny.

Nasze „Gorzkie żale“ zostały przetłumaczone na język angielski przez ks. P. Wachowskiego z Toledo w Ameryce, a ks. biskupowi tolekańskiemu tak się spodobały ich treść i melodia, że polecił proboszczom swej diecezji, aby ich śpiew wprowadzili do swych kościołów w czasie najbliższego postu.

Misjonarze w służbie medycyny. Bracia S. Jana i SS. Terezjanki wyszkoleni przez wybitnego okulistę ks. dr. Szuniewicza z polskiej prefektury w Szuntehfu, otworzyli w Ankuo w prowincji Hopei w Chinach lecznicę okulistyczną, która doznaje wielkiego powodzenia. Dziennie zgłasza się do 200 pacjentów.



Naokoło Jubileuszu Dzieci Marji w Tarnowie.

(Ciąg dalszy).

Ale właśnie przywraca nam Kościół szlachetnie odnowioną Ewę w Marji. Depcze księżycowość jako niewiasta godna i warta siebie, nie zaś niewolnica. W gwiazdach niebiańskości, błyszczących wiarą i czystym sumieniem, staje białogłowa przed społeczeństwem i mężem i narzeczoną, której dotykać nie wolno. Z dzieciątkiem żona, a matka przy sercu i na rękę mówi, że weszła w najbliższą łączność ze Stwórcą, by być uroczą kapłanką w ognisku domowym, skąd obywatele królestwa niebieskiego prowadzić będzie spowrotem do wszechmocnego Ojca. Dziewica i oblubienica chodząc się ośmiela w chwale, jak w słońcu, a jasność i ciepło zasad chrześcijańskich, od Boga i z szczęścia Jego wyszłych, wnosi w dom, bo przez to i przytulność Bożej czeladzi w gnieździe rodzinnem zapanuje, bowiem właśnie taka, chodząc po ziemi, umie zdeptać węża pokus i pychy i nie-wstrzeźliwości i kłamstwa i uwodzicielstwa i zjadliwości, aby zgodą i miłością z serca oddychał dom familijny.

Przeto obraz Niepokalanej nosić ma w duszy i w życiu odzwiercie-dlać niewiasta, choć w świecie żywa, lecz nie światowa.

Dlatego Najświętszej obraz w sercu nosić i według tego wzoru szukać ma mężczyzna towarzyszkę życia, jeżeli w styczności z kobietą nie chce ginąć marnie, lecz stać się mocnym, bogatym i szczęśliwym tu i we wieczności.

Wszystkim jedno trzeba mieć na pamięci, że dobrą i szlachetną matką i żoną będzie ta, która chodząc w ozdobie cnót chrześcijańskiej dziewicy: z świętych panien są święte matki, które też powiodą grono swych owieczek, dzieci, z ich pasterzem, ojcem, na słoneczne połoniny i uroczne hale wzgórz wiekuistych Gospodarzowi świata i Królowi nieba na chwałę.

Pod chorągwią (która przez lata była nam symbolem jedności i wierności dla Matki Najśw.), ustrojone w medale na wstążkach trzech grup Stowarzyszenia, skupione przed ołtarzem Niepokalanej przyświecając światłem w rękę na cześć Najświętszego Sakramentu, przygotowywałyśmy się do wspólnej Komunii św., aby pokrzepić duszę swoją i uprosić źródeł łask dla przyszyłych towarzyszek, dla Dzieci Marji, które popołudniu będą przyjęte. Wszystkie, cała rzesza, bo i te Dzieci, które na chórze śpiewały, przyjęłyśmy Pana Jezusa w Najświętszym Sakramencie. Ochotnie biło serce. Wszakże po nabożeństwie, w powrotnej drodze do domu, wpośród tłumu wiernych, który wysypał się z murów świątyni i zaczął się rozchodzić

w swoje strony, nieco zrobiło mi się smutno na duszy; właśnie zdjęła mnie na widok licznych panien troska o to, że nie wszystkie te dziewczęta mogły doznać pociechy takiej, jak my, Dzieci Marji, bo wiele ich do nas jeszcze nie należy. Czemu one nie zapoznają się dotąd ze Stowarzyszeniem i co je wstrzymuje? Szkoda ich! A może dadzą się nakłonić i pokochają pracę nad sobą wytrwała i umiłują bardziej Przczystą Dziewicę, którą Stowarzyszenie uczy osobliwie czcić! Czy je kto odwołuje? Bardzoby to było brzydko. A może w nas jaka wina tkwi? Warto będzie o tem pomówić na zebraniu. (M. Sęderaczanka).

Popołudniu, po uroczystych niesporach, przed głównym ołtarzem Świętej Rodziny, tu, gdzie Pan Jezus utajony zamieszkał w domku eucharystycznym, odbyło się uroczyste przyjęcie członkiń nowych, razem 23 osób. Dzięki Bogu, będzie większa liczba czcicielek Najświętszej Panny, a zarazem dobrych i wiernych chrześcijan-katolików.

Wśród ceremonij, jak zwykle, wygłosił do nas nasz Ks. Dyrektor naukę, a słuchaczek miał znaczną liczbę, które razem z dawnymi Dziećmi Marji otoczyły te nowe. Jakby kończąc rekolekcje, roztoczył jeszcze przed wszystkiemi wartość, godność i skutki modlitwy, a osobno wyszczególnił modlitwę różańcową z jej tajemnicami i folgując ułomności ludzkiej zachęcał, choćby tylko do jednego dziesiątka codziennie w razie prawdziwej niemożności, z braku czasu, bo z urzędu swego Dzieci Marji zobowiązane są do tej dla Matki modlitwnej czci. Nakoniec zaśpiewaliśmy wraz dziękczynne Magnificat (po polsku) i jeszcze naszą pieśń "Kocham Marję.. Po uroczystości kościelnej idziemy do naszej świetlicy, by przywitać nowe towarzyski, nowy poczet miłośniczek cnoty; oddawszy sobie wzajem pocałunek pokoju i pogwarzywszy serdecznie i wesoło, rozeszliśmy się już pod zmierzch. (M. Czaplńska).

Minał tak pierwszy dzień jubileuszowy, taki rodzinny, wewnętrzny.

*

3) Niedziela, 9 grudnia, drugi dzień uroczystości.

Wczorajsze nastroje przedłużyliśmy sobie na dziś wczesnym rankiem, aby na prymarji zaśpiewać Matce naszej na cześć i jeszcze wspólnie przyjąć Komunię św. Wybrałyśmy to raczej dla serdeczniejszego skupienia. Później bowiem dla nas będzie więcej ceremonij zewnętrznych i inaczej ducha podnoszących, niż w cichej modlitwie z Boskim Gościem.

Otóż o godzinie 10-tej powtórna zbiórka. Naprzód na sali naszych niedzielnich i tygodniowych zebrań ostateczne szczegóły uroczystości obmówiwszy i tu zwiercnie okrycia zostawiwszy, już o godz. 10.15 wyruszamy przez ulicę w białych sukienkach i medalach parami do kościoła na uroczystą, pontyfikalną Sumę. Ustawiamy się za naszą chorągwią w dwu szeregach, środkiem przy ławkach, wzdłuż od drzwi ku ołtarzowi, ze świecami zapalonymi w rękę, pełne ciekawości, ale i powagi, tuż przed zakonnicami i kapłanami, którzy u samych bram stali w oczekiwaniu na Najprzewielebniejszego Ks. Biskupa Ordynariusza. Wrychle słyszymy turkot i wark auta, potem radosną grę dzwonów na wieży kościelnej i wnet uroczysty śpiew z chóru: „Ecce sacerdos“. Ks. Arcypasterza wprowadzamy uroczyście przed ołtarz i tron. Z połowy presbiterjum po prawej stronie wychyla się nasz nowy sztandar, ubrany zielenią i kwiatami, trzymany przez jedną z Dzieci Marji. Z upodobaniem i dumą sredeczną spoglądamy nań. Po przygotowawczej modlitwie i ubraniu się w saty liturgiczne Ks. Biskupa przybliży się przed tron chorażna wraz z dwiema parami chrestnych (pań i panów z Akcji

Katolickiej) pod sztandarem i wstęgami, bo rozpocząć się ma poświęcenie naszego biało-niebieskiego znaku z Matką Boską Niepokalaną po jednej, a symbolami Cudownego Medalika po drugiej stronie w otoczu wzorów i kwiatów i napisów. Pięknie odbijał sztandar nasz na tle ponsowego tronu biskupiego i królewskiej czerwieni ścian kościelnych, zateczwionych odbłaskiem okien witrażowych, sztandar nasz w haftach złotych na podbiciu śnieżnej białości i w haftach na niebieskiej drugiej stronie swej. Ks. Biskup wstał na tronie. (K. Sekurówna).

(Ciąg dalszy nastąpi).



Sprawozdanie

Stowarzyszenie Dzieci Marji w Grodnie

za czas od 9/I 1934 r. do do 19/I 1935 roku.

Na początku roku sprawozdawczego Stowarzyszenie nasze liczyło 20 członkiń, a obecnie 22. W ciągu całego okresu odbyło się według protokółów 39 zebrań. Zebrania odbywały się 3 razy miesięcznie pod przewodnictwem Prezydentki w zastępstwie Księdza Dyrektora lub Siostry Dyrektorki. Przedmiotem zebrań były referaty o świętości, wygłaszane przez Księdza Dyrektora. Referaty były podniosłe i dawały nam dużo korzyści duchowych. Prócz referatów były omawiane sprawy ogólne, dotyczące życia katolickiego na świecie, jak również pytania Stowarzyszonych, na które Ks. Dyrektor dawał wyczerpujące odpowiedzi. Zebrania kończyły się modlitwą, nieraz krótką Benedykcją. W pierwszą niedzielę miesiąca jest wspólna Komunia św. Ogólna liczba przyjętych Komunii św. 16. W każdą niedzielę miesiąca Stowarzyszone zbierają się na wspólną Mszę św. Przyjęć do Dzieci Marji było 2. Pierwsze przyjęcie odbyło się 8 grudnia 1934 roku. Do Dzieci Marji przyjęto 6 stowarzyszonych, a do aspirantek 13. Drugie przyjęcie odbyło się 8 grudnia 1935 roku. Do Dzieci Marji przyjęto 6, a do aspirantek 3. Do grona Dzieci Marji są przyjmowane kandydatki po kilkumiesięcznej conajmniej próbie. Uroczystość przyjęcia została poprzedzona krótką nauką rekolekcyjną przez Ks. Dyrektora. W dniu przyjęcia odbyła się króciutka akademja ku czci Niepokalanej. 22 grudnia 1935 roku odbył się pierwszy wspólny opłatek w Stowarzyszeniu. Ks. Dyrektor w krótkich, lecz serdecznych słowach złożył życzenia. Czas przy stole wigilijnym upłynął bardzo mile i wesoło w gronie Czcigodnego Księdza Dyrektora, Siostry Dyrektorki i innych Sióstr, które okazały nam bardzo wiele seca.

W pierwszych dniach grudnia 1935 roku żegnały Stowarzyszone Dzieci Marji Dyrektorkę Siostrę Karolinę Smagłowską, a witały Siostrę Dyrektorkę.

26 stycznia 1935 r.

Czesława Rosse, prezydentka.

ZA ZEZWOLENIEM WŁADZY DUCHOWNEJ.

Redaktor: X. Pius Pawellek, Misjonarz.



KOŚCIÓŁ XX. MISJONARZY POD WEZW. MATKI BOSKIEJ Z LOURDES
W KRAKOWIE NA NOWEJ WSI.

Złote Promienie Cudownego Medalika.

W roku 1933/4 ja, b. luteranka, uczęszczałam od 8-miej klasy gimn. prywatnego w Wilnie i mimo usilnej pracy i dobrego przygotowania matury nie uzyskałam. W roku później w 1934/5 mimo choroby Mamusi, oraz przeszkód materialnych, maturę złożyłam, jako eksternistka i to dzięki Najświętszej Marji Pannie. P. Tola Nowicka, gorliwa katoliczka i Dziecię Marji, skłoniła moją Mateczkę, aby codzień z nią chodziła na Msze święte i ofiarowywała je na intencję pomyślnego egzaminu, modląc się przytem gorliwie do Najśw. Marji Panny. Nic o wycieczkach mojej Mateńki ewangeliczki z p. Tolą nie wiedziałam, lecz po złożeniu matury, tak srogiej dla innych, uwierzyłam, że to tylko Ona, ta Najśw. Matka dokonała tego cudu na prośbę p. T. oraz mojej Mamusi. Przysiękłam wtedy sobie, że choć ciężko, to złożę jako ofiarę 5 zł., lecz ślubu tego nie wykonałam, ze względu na warunki. Doznałam w tym roku znowu za przyczyną Matki Najśw. dwóch cudów, a to: 1) Matka moja ciężko i beznadziejnie chora odzyskała władzę w nogach i żyje mi dotąd i 2) stałam się niespodzianie katoliczką z imieniem Marja (bez wiedzy ojca mego) i choć borykam się z losem, to jednak na każdym kroku niemal doznaję łask Najśw. M. Panny.

Proszę bardzo, jeśli to możliwe, aby OO. modlili się o zdrowie nowonawróconej, t. j. za mnie, gdyż choruję na cukrzycę, a w lutym b. r. przejdę operację i chorobę w szpitalu. Wierzę w to, że Najśw. Matka wyjedna mi u Syna Swego łaskę i doda mi sił, jeśli to Jego wola do przetrzymania tych ciężkich chorób, a ja znowu do OO. Misjonarzy napiszę o tem. Proszę uprzejmie też o przysłanie mi „Rocznika”, w którym będzie wydrukowane moje podziękowanie, abym mogła mojej Matuli-luterance go ofiarować. Za „Rocznik” prześlę należność.

Wilno 8 stycznia 1936 r.

Marja Taraszkiewicz.

Z sercem przepelnionem wdzięcznością, składamy publiczne podziękowanie Królowej Niepokalanej za uzdrowienie Siostry Anieli. Po orzeczeniu kilku miejscowych lekarzy, wskutek wyczerpania serca stan chorej był ciężki; po 4-ch tygodniach nastąpiło pogorszenie spowodu skrzepu w jelitach i znów stan chorej Siostry stał się beznadziejnym. Jeden z lekarzy wyraził się, że muszą Siostry silny szturm przypuścić do nieba, by Bóg przemienił. Rozpoczęłyśmy nowennę z całą gorącością ducha wraz z chorą do Matki Najświętszej, przy końcu której niebezpieczeństwo minęło. Za tą i inne łaski otrzymane za pośrednictwem Matki Najświętszej składamy najgorętsze podziękowanie.

Siostry Miłosierdzia z Piotrkowa.

W obliczu ciężkiej doli jak najuprzejmiej upraszamy
Wszystkich Szan. Abonentów, aby najłaskawiej zechcieli nam
przyjść z ochotną pomocą. — Prosimy o łaskawe nadsyłanie
prenumeraty, zaległości i t. d. — Serdecznem Bóg zapłać
dziękujemy za każdy objaw życzliwości.

X. Redaktor.

